

Juliusz Wątroba

Konkur-siki!

1.

Do napisania tego tekstu upoważnia mnie teoria i praktyka, wnikliwa obserwacja od środka i z zewnątrz, zaangażowanie emocjonalne, a jednocześnie zimne i wyrachowane spojrzenie na to ekscytujące i frapujące zjawisko z pogranicza groteski (współcześnie) i literatury (niegdyś), które zapewne zainteresować by mogło także psychologów, a nawet psychiatrów! Sprzyjającą okolicznością dla głędziołka pospolitego, w którego właśnie się wcielam, jest czas, na który zwykle psio-czymy, że tak szybko upływa, ale czasem wyostrza spojrzenie i pozwala dostrzec to, co wcześniej umykało uwadze.

Rzecz będzie o konkursach. Literackich, ze szczególnym uwzględnieniem tych poezji(?) pełnych. Konkursy te mają w kraju długi tradycję. Zmieniały się ich regulaminy, wysokości nagród (od mamony po świstek dyplomu), prestiż i znaczenie. Ostało się jeszcze, na szczęście, kilka znaczących konkursów, promujących prawdziwych twórców.

Bo zwycięstwo w konkursie poezji, to pierwszy i bezpieczny krok do literackiego (pół)światka. Wszak nic prostszego, jak tylko napisać, przepisać, wysłać, i... czekać, aż przyfrunie wspaniała wiadomość, że jest się laureatem! Bo konkursy literackie kuszą. Już wprawdzie nie nagrodami, za które można wystawić wilę (jako drzewiej, w przedwojennej Polsce bywało), ale samym faktem bycia laureatem, czyli kimś lepszym, ważniejszym, docenianym, a czasem nawet podziwianym i... wzbudzającym zazdrość mniej utalentowanej konkurencji.

2.

Ach, jakie to przyjemne i wspaniałe! Dość informacji, że właśnie zostało się laureatem konkursu poezji! To jakby taki mały, malusieńko-tyciuteński Nobelek, Noblątko, Noblusio, które trzeba tulić, że właśnie jest to szczęście wyteśknione, oczekiwane, o którym tyle się myśli, a nawet śni! Gdy już nie ma, prócz erotycznych, atrakcyjniejszych tematów na sny. Ekscytacja! Uniesienie z elementami egoizmu, pychy i narcyzmu, że oto jest się laureatem, który fruwa nad tym światem, na skrzydłach pegazich, z którymi od twarzy... Więc może na to konto winka lub wódeczki? Jeszcze tylko raz sprawdzić, czy to pewna informacja, czy prawdziwa, gdy tyle nieprawdy spływa w każdej chwili, chwileńce, ale to epokowa chwila na szczęście, gdy się poetka albo poeta dowiaduje, że jest!, naprawdę jest! Zauważonym! Docenionym!! Nagrodzonym!!! Czasem przez samego pana prezydenta, częściej przez pomniejszych urzędników, ale przecież zawsze to nobilitacja i odlot w piękniejsze rejony...

Ach, jakie piękne jest życie, co czasem nie do życia, w takiej chwili... Później w mediach społecznościowych zamieścić fotkę wniebowziętego autora, albo samiuśkiego dyplomu, albo razem z rozanielonym artystą, który właśnie chwycił samego Pana Boga za nogi i jest szczęśliwy jako dziecko, które dostało upragnioną zabawkę, albo staruszek, któremu podnieśli właśnie rentę, czy polityk, co to w końcu dochrapał się stanowiska... By zwiokrotnić szczęście i przyjmować zasłużone gratulacje, czy jeszcze wymowniejsze milczenie, trzeba by wieść o tym niebotycznym sukcesie dotarła jak najszerzej i jak najdalej... I nie ważne, że w konkursie brało udział pięciu uczestników, a wręczono, bardziej lub mniej uroczysto, a często nawet zaocznie, sześć nagród!

3.

Byłem nagradzany w rozlicznych literackich zawodach, poczynając od Tatr (w ramach Tatrzańskiej Jesieni konkursu na wiersz o tematyce górskiej), a kończąc nad morzem, skąd wracałam z nagrodą Prezydenta Gdyni „Grudą Bursztynu”, o którą kruszyliśmy satyryczne kopie, walcząc o laury oraz z... kacem. Przejechałam, wodzony za nos telegramami informującymi o sukcesach, Polskę wzdłuż – od gór do morza; wszecz – od Bugu po Odrę przez Łódź, Poznań, Konin, Katowice, a nawet w poprzek – od siedleckiego Sympozjonu Satyry po Turniej Łgarzy w Bogatyni.

Prócz przyjemności wynikającej z otrzymywania nagród, jeszcze większą, choć niewymierną wartością były spotkania z organizatorami i z rozpromienionymi, a czasem jeszcze przed uroczystym podsumowaniem skacowanymi, pozostaliśmy laureatami, a nade wszystko z jurorami, którymi najczęściej były wybitne osobowości, znani literaci, z którymi spotkania i rozmowy były prawdziwą ucztą intelektualną.

Jednak, gdy po raz setny, zostałam laureatem, to zapaliło się w moim rozpalonym łebku, już nie żółte ostrzegawcze, a czerwone światełko: kategoryczny zakaz konkursowania! Bo to już nie wypada, nie uchodzi, nie przystoi, bo to i moralnie wątpliwe, i już w żaden sposób nie przyczynia się do mojego twórczego rozwoju – zakładając optymistycznie, że przed laty, gdy zaniechałam tego procederu, jeszcze się rozwijałam! Oczywiście, nie mam też żadnej pewności, czy wiersze napisane później byłyby także zauważane.

Może ktoś słusznie zapytać, po co się tak uzewnętrzniam, czy po to, by się chwalić i reklamować, bo przecież żyjemy w czasie i w epoce chwali się (jakby się niegdyś pogardliwie powiedziało), i w dobrym tonie, wręcz obowiązkowa jest autokreacja i zachwywanie

swoimi urojonymi i prawdziwymi sukcesami, z nachalnym lansowaniem się zaradnych „twórców” wszelakiej maści w czasie, gdy wszyscy to robią, bo taki stał się ten świat. To też dramat współczesności: zachwalanie tandety, wynoszenie się karykaturek na piedestał, aby rozwiewać mroki sentymentalnymi wspomnieniami o niby sukcesach, które mają uwznioślić upływający czas. Bo już nikt cię nie znajdzie, jak niegdyś w przysłowiu, gdy będziesz stał w kącie, bo kątów już chyba też nie ma, gdy otacza nas cyrk, w którym przyszło nam żyć, z okrągłą areną, gdzie wszyscy pokazują nawet to, co winni wstydliwie ukrywać! Nic z tych rzeczy, piszę o tym dlatego, by uwiarygodnić ten tekścik, byście państwo, którzy w swojej łaskawości, czytacie te nieprzemysłane przemyślenia, uwierzyli mi na Słowo, to dosłowne i metaforyczne, że wiem, o czym piszę...

4.

Są tacy nawiedzeni twórcy, którzy wpadli w nałóg konkursowania, a nałogi, czyli uzależnienia, jak powszechnie wiadomo, są ciężkimi do wyleczenia chorobami, z których wychodzi zaledwie kilka procent nieszczęśników, co im ulegli, gnani niepohamowaną chęcią mnożenia nagród we wszelakich konkursach i konkursikach, co stało się receptą na życie, spełnieniem i satysfakcją, i dążeniem, dążeniem do kolejnych laurów i zaszczytów. Znam poetkę, dobiegającą sześćdziesiątki, już z lekką zadyszka, co ma jeszcze jeden, też wyniszczający nałóg (palenie!), która zapowiadała się na znakomitą następczynię naszej Wisławy, już jako kilkunastoletnie dziewczę, gdy zdobyła pierwszą nagrodę w sołeckim konkursie na wiersz o Kole Gospodyń Wiejskich. Zapowiadała się, gdy już jako dojrzała kobieta wygrywała ogólnopolskie konkursy, i dalej się zapowiada (choć nie jest spikerką, bo to już wymarły zawód) na świetną poetkę. Jest aktualnie żoną, matką (o kochankach nic nie wiem), a nawet babcią, a zachowuje się tak, jak tamta dziewczynka sprzed dziesięcioleci, „konkursując” namiętnie, emocjonalnie i chorobliwie, kolekcjonując konkursowe laury, a poza regulaminami konkursów nie dostrzega już niczego i... nikogo, oprócz... wrednych konkurentów, którzy mają czelność i chcą ją ubiec w wyścigu szczurów po kolejne laury. Do tej pory nie wydała ani jednego tomiku, ale za to jest laureatką bodaj trzystu konkursów! I tak ją te konkursy omotały, jak nieszczęsną muchę sieć pajęczą, w której sama się zadreczę i już nie jest w stanie z tych omotań się wymotać.

Dzień rozpoczyna od poszukiwania regulaminów najbliższych konkursów. Analizuje je wnikliwie pod kątem tematyki, składu ju-